TOŻSAMOŚĆ · OPINIA

SADOMASOCHIZM POLSKIEJ POLITYKI HISTORYCZNEJ

Przemysław Dulęba · 1 czerwca 2021



„Brzozy płaczące nigdy owoców nie niosą, nie można z nich nawet wyciąć kija, aby wypędzić psy ze świątyni".

Joseph de Maistre

Ostatnio zobaczyłem układankę w postaci mapy świata, którą moje dzieci pracowicie kompletowały. Niektóre państwa dodatkowo oznaczano ilustracjami, które miały symbolizować dany kraj, jego cywilizacyjne osiągnięcia, sławnych ludzi etc. Na miejscu Polski znajdowała się… fotografia Ignacego Łukasiewicza. To mnie zaskoczyło, rzeczywiście trafne. Naukowiec, który wymyślił i wdrożył metodę destylacji ropy naftowej. To zmieniło świat! I zrobił to Polak! Świetnie – myślę sobie. Jednak tuż obok Ukraina, Białoruś i zaraz zaczyna się Rosja, a tam zaznaczono… Katyń i dodano mały rysunek pokazujący siepaczy z NKWD zabijających polskiego oficera! To jakiś obłęd! Ta układanka dla dzieci, nie muszę pewnie tego podkreślać, była produktem polskim!

Kilka lat temu, sam nie wiem skąd, trafił do moich rąk ilustrowany „Kalendarz polski". Z uśmiechem poli-

towania przeglądałem karty tego ściennego kalendarza zrobionego w tonacji hurapatriotycznej popeliny, dopóki nie doszedłem do lipca, który zilustrowany był fotografią upamiętniającą zbrodnię wołyńską, dzieci przywieszonych do wisielca matki. Wyglądało to tak strasznie, że natychmiast wyrwałem tę kartkę kalendarza, porwałem ją i wyrzuciłem do kosza. Takiego lipca w moim domu nie będzie! Nie neguję potrzeby wnikliwego badania i upamiętniania tych wydarzeń, które śmiało można uznać za jedno z najbardziej tragicznych w dwudziestowiecznej historii Europy, wszelako obfitującej w tego typu traumatyczne zdarzenia. Cóż, że działy się tam rzeczy tak straszne, że trudno to sobie dziś wyobrazić, ale czy warto tym tak bezmyślnie epatować? Tego typu fotografie nie powinny wychodzić poza ramy specjalistycznych książek historycznych!

Martyrologiczny obłęd jest jednak bardzo mocno zakorzeniony w polskim społeczeństwie i może być powodem ogólnej niechęci, jaką żywioł polski w swej przytłaczającej większości darzy dziedzictwo historyczne, które – nie bez powodu – łączy z przygnębiającą traumą. Ten swoisty historyczny sadomasochizm jest niestety stałą tendencją polskiej polityki historycznej co najmniej od trzydziestu lat. Co więcej, nawet te rocznice i wydarzenia historyczne, które nie są związane z klęską i traumą, są świętowane i upamiętniane w sposób nieodbiegający od tych bardziej dramatycznych epizodów polskiej historii.Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych jest celebrowany 1 marca od ponad dziesięciu lat. To jedyny przypadek współczesnego święta państwowego, które powstało z rzeczywiście oddolnej inspiracji. Kształt mu nadały setki lokalnych inicjatyw społecznych, powstających z odruchu buntu przeciwko ówczesnemu politycznemu mainstreamowi. Głównym paliwem tego święta był specyficznie pojmowany patriotyzm małomiasteczkowego prekariatu, który jakieś piętnaście lat temu dosyć nonszalancko połączył beznadzieję swojego egzystowania w kraju bandyckiego turbo-kapitalizmu i dyktatury liberalnej demokracji z beznadzieją podziemia niepodległościowego po 1944 r. Wszystko wygląda z pozoru wspaniale, ale znów jest to celebracja „przegranych za słuszną sprawę" „moralnych zwycięzców", którzy zgnieceni beznamiętnym walcem historii, zostali umieszczeni w śmietniku historii (w przenośni i dosłownie – patrz pochówki na tzw. Łączce!) i mało brakowało, aby zniknęli ze zbiorowej pamięci na zawsze. Z drugiej strony, czy Żołnierze Wyklęci mogą być dalej patronami odbudowy podmiotowej państwowości? Czy ich opór, który w dużej mierze był rodzajem dramatycznego gestu, odruchu serca lub bezwzględnej konieczności samoobrony swojego istnienia może być spoiwem dla współczesnego żywiołu polskiego? Dla żywiołu, który potrzebuje przede wszystkim lepszej społecznej organizacji i poczucia wspólnoty działania w imię polepszenia warunków egzystencji w świecie, narzuconej nam przez „obcą przemoc" bezwzględnej kapitalistycznej walki na śmierć i życie.

> **Żywioł polski potrzebuje teraz autentycznych postaci na miarę fikcyjnych Stanisławów Wokulskich i Karolów Borowieckich, którzy w realnym życiu, jak na kartach prozy Prusa i Reymonta, pokażą się jako zwycięzcy w walce cywilnej doby obecnego turbo-kapitalizmu.**

W porównaniu do współczesnej polityki historycznej nawet siermiężna propaganda historycznego sukcesu promowana w PRL-u, o ile nie dotyczyła tematów *stricte* ideologicznych, związanych z historią komunistycznej rewolucji *à la manière polonaise*, była o wiele bardziej skuteczna. Budowała poczucie pewnego zadowolenia pokazując zwycięstwo nad „odwiecznym wrogiem" oraz odzyskanie „piastowskich" ziem na zachodzie. W tym przypadku nie była oryginalna, albowiem oba wspomniane tematy komuniści

celowo skopiowali z żelaznego repertuaru postulatów przedwojennego ruchu narodowego. W tej perspektywie nieistotne było to, że ten „triumf nad niemieckim faszyzmem" wywalczyła sowiecka Armia Czerwona, a polskie wojsko było jej mało znaczącym dodatkiem. Były to realne zmiany i konkretne dziejowe posunięcia, które ugruntowały przyszłość milionów Polaków na niemalże 50 lat i one procentują do dziś. Warto również podkreślić, że propaganda oraz polityka historyczna PRL-u była robiona z wielkim rozmachem i wykorzystywała wszystkie ówcześnie dostępne środki, od wysoce tendencyjnych badań historycznych, poprzez sztukę różnego poziomu, aż po raczkującą ówcześnie pop-kulturę. Nawet tak specyficzne wydarzenie, jakim był Festiwal Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu, emanował wprost treściami propagandy historycznej, którą niejako „podprogowo" przyjmowały szerokie rzesze społeczeństwa. Można się zżymać na formę prezentowanej tam sztuki estradowej i ogólnej „przaśności" tego wydarzenia, ale nie powinno się deprecjonować ogromnego wpływu i pozytywnej propagandy, jaką otoczono armię, która – pomimo nachalnego upolitycznienia – była niewątpliwą chlubą socjalistycznego społeczeństwa.

CZYTAJ TAKŻE: Państwo narodowe i modernizacja. O alternatywę dla liberalnego wariantu nowoczesności

Z wielkim zadowoleniem oglądałem niegdyś piramidalnie kiczowaty rosyjski film „Rok 1612" (reż. Władimir Chotinienko, 2007), który dotyczył dramatycznych wydarzeń związanych z końcem rosyjskiej „wielkiej smuty" i okupacją Kremla przez polskie wojsko. Polacy zostali tam po raz pierwszy – przynajmniej w moich oczach – pokazani jako „ci źli", jako budzący grozę okupanci. I nie przeszkadzało mi to, że film ów jest beznadziejnie nakręconą bajką z mnóstwem bzdurnych symboli (mocno new-agowych!), pełną historycznych nieścisłości i iście „putinowskiej" propagandy. Podobało mi się to, że Polacy wreszcie byli tymi, którzy bezwzględnie wykorzystują słabość ówczesnej Rusi i stanowią element śmiertelnego zagrożenia, że są dokładnie w tym miejscu, na którym my zawsze w naszej zbiorowej podświadomości lokujemy Niemców. Ta dziś bardzo niezrozumiała z punktu widzenia „przeciętnego Polaka" rosyjska fobia ma swoje bardzo konkretne uzasadnienie. Ów rok 1612 był momentem przełomowym w rosyjskiej historii, był momentem przesilenia, który doprowadził do zwycięstwa umacniającego imperialną potęgę Rusi. Z tej przyczyny dzień oswobodzenia moskiewskiego Kremla jest obchodzonym 4 listopada putinowskim świętem państwowym, które zgrabnie wypełniło lukę po niemodnych od jakiegoś czasu obchodach rewolucji październikowej (7 listopada).

> Rzymianie nigdy nie przedstawiali klęski swoich żołnierzy. Widać to w sztuce triumfalnej okresu cesarstwa, gdzie rzymski legionista lub jeździec zawsze bezlitośnie tratuje wszelkiej maści barbarzyńców, a im są bardziej upodleni, tym chwała niezwyciężonego Rzymu wydaje się większa. Takie są żelazne reguły sztuki propagandy i zasadniczo nie zmieniły się po dziś dzień. Amerykanie, którzy pełnią lub do niedawna pełnili rolę współczesnych Rzymian, rozumieli bardzo dobrze te odwieczne schematy. Wystarczy spojrzeć na arcydzieła amerykańskiej propagandy, zwłaszcza te, które dotyczą II wojny światowej (np. „Szeregowiec Ryan", reż. Steven Spielberg, 1998), które sugestywnie pokazują, że choć ofiara krwi była duża, to jednak zwyciężyliśmy!

To nic, że sztuka ta jest bardzo schematyczna (od lat scenariusze filmowe są komponowane według ściśle określonych reguł), a produkcje wybijają się jedynie za pomocą coraz bardziej oszałamiających za-

biegów formalnych i efektów specjalnych. W czasach *Pax Americana* główny przekaz jest jasny i prosty – zawsze zwyciężamy, bo reprezentujemy „odwieczne pragnienie wolności", „siły dobra" lub „jasną stronę mocy". Wystarczy prześledzić sztandarowe produkcje filmowe dotyczące współczesnej historii produkowane w Stanach Zjednoczonych co najmniej od lat 80-tych ubiegłego wieku, by przekonać się, że główny przekaz nie zmienia się, lecz przekształca w rodzaj kulturowego archetypu, który przynajmniej do niedawna był ochoczo przyjmowany przez wszystkie narody i państwa aspirujące do cywilizacji świata atlantyckiego.

CZYTAJ TAKŻE: Kultura oddana walkowerem

Palącym problemem naszej polityki historycznej jest obiektywnie szczupły zasób pozytywnych przykładów z historii współczesnej. Trudno bowiem odnosić się do czasów zamierzchłych, jakimi dla człowieka XXI wieku są czasy średniowiecznego Królestwa Polskiego czy też okres I Rzeczpospolitej, i to ograniczony do jej początkowych etapów (tj. mniej więcej do pierwszej połowy XVII wieku). Poza wydarzeniami i postaciami związanymi ze „zmartwychwstaniem Polski" w latach 1918-1921, bardzo trudno wskazać pozytywnych bohaterów z biografiami przedstawiającymi ludzi spełnionych, którzy wraz z sukcesem Polski osiągnęli swój prywatny sukces. Dodatkową trudnością jest również sytuacja, gdzie społeczeństwo, lub raczej bardziej świadoma jego część (celowo unikam słowa elita, które w tym wypadku byłoby fałszywym uogólnieniem), która rozumiała i twórczo rozwijała niektóre z osiągnięć tamtych odległych epok, została doszczętnie zniszczona przez wydarzenia II Wojny Światowej.

Jesteśmy obecnie niemal całkowicie chłopskim społeczeństwem i trzeba mieć to na uwadze, kiedy formułuje się przekaz odnoszący się do dziedzictwa historycznego. To moment owej opisywanej przez Andrzeja Ledera „prześnionej rewolucji", która odbyła się w latach 1939-1989 (*Prześniona rewolucja. Ćwiczenia z logiki historycznej*, Wydawnictwo „Krytyki Politycznej", Warszawa 2014). We wspomnianym procesie historycznym, którego podmiotami byli naziści i komuniści, całkowicie zniknęły dwie warstwy społeczne nadające ton całej historii od XVI w. – polska szlachta i żydowskie mieszczaństwo. Podmiotem tego procesu był polski lud, który chociaż mając bardzo ograniczony wpływ na jego przebieg, został przez ten okres przetworzony w nowe społeczeństwo. Leder swój esej prezentuje w sposób bardzo bełkotliwy i obciążony typowymi dla neomarksistów sztampowymi odniesieniami do modnych w tym środowisku rytualnych zaklęć w postaci odwołań do piśmiennictwa Jacques'a Lacana, Alaina Badiou czy Slavoja Žižka. Pomimo tych mankamentów, wspomniana praca zawiera (zwłaszcza w ostatnim rozdziale!) wiele bardzo gorzkich, ale do bólu prawdziwych spostrzeżeń dotyczących współczesnych problemów społecznych, których nie należy bagatelizować. Czy tego chcemy, czy nie, okres traumatycznych wydarzeń z lat 1939-1989 ukształtował nasz dziwaczny patriotyzm, który jest perwersyjnym połączeniem dumy do polskości „wyobrażonej", czyli takiej, jaką znamy dzięki wpajanej nam – przynajmniej do niedawna – w szkole i w domu XIX-wiecznej romantycznej tradycji i uprzedzenia do polskości „realnej", jaką odziedziczyliśmy w spadku po instytucjonalnej polityce PRL-u.

Czy startujemy zatem od zera? Pewne podwaliny pod gmach polityki historycznej, pomimo całej ideologicznie odrzuconej już otoczki, zawdzięczamy mimo wszystko okresowi PRL-u. Osobną sprawę, wymagającą szczególnego podejścia, stanowi odnoszenie się do tzw. „dziedzictwa Solidarności", które na szczęście jest nadal zbyt świeżym i jednocześnie zbyt kontrowersyjnym tematem, aby wokół niego gromadzić większość społeczeństwa. W tym przypadku jednak – obiektywnie patrząc – także nie dysponujemy pozytywnym przesłaniem, albowiem ów niemal mityczny 10-milionowy ruch społeczny w rzeczywistości

przegrał z kretesem cywilną walkę, jaką wytoczył elitom dogasającego PRL-u. Domorośli „bohaterowie" demokratycznej opozycji szybko pozbyli się złudzeń co do swojej dziejowej misji i na fali przemian zapoczątkowanych w 1989 roku całkowicie oddali się bezkrytycznej implementacji politycznego, społecznego i ekonomicznego liberalizmu, jaki dostaliśmy w pakiecie z upragnioną suwerennością.

Ile wody w Wiśle lub Odrze musi upłynąć, żeby przekonać żywioł polski, że pedagogika traumatycznej martyrologii nic dobrego nie przyniesie? Powinniśmy świętować tylko zwycięstwa, a na grobach przegranych ludzi i spraw, których jest już zbyt wiele w naszej historii, powinniśmy „ostrzyć miecze" do zemsty za te porażki. Wbrew potocznej opinii cierpienie nie uszlachetnia. Cierpienie przede wszystkim niszczy i deprawuje. To, co wbijano nam do głowy na temat „moralnych zwycięstw", wystarczy nam na lata. Pora na dobre przykłady, bo tylko one pociągają!

fot. commons.wikipedia.org

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/sadomasochizm-polskiej-polityki-historycznej/

DOBRA ANALIZA WYMAGA CZASU

Rzetelny tekst to dni pracy: źródła, dane, redakcja. Każda wpłata pozwala nam przygotować kolejny. Nawet niewielka kwota ma znaczenie.

WSPIERAM ANALIZY

wspieram.nlad.pl



Zeskanuj, aby wesprzeć